TOŻSAMOŚĆ · OPINIA

CO RÓŻNI ZWOLENNIKÓW MARSZU NIEPODLEGŁOŚCI I PARAD RÓWNOŚCI? O TZW. WOLNOŚCI SŁOWA

Grzegorz Ulicz · 28 listopada 2020





Wydarzenia ostatnich tygodni dowiodły kilku niepokojących rzeczy. Otóż okazuje się, że całkiem sporo w naszym kraju jest ludzi uważających, że wolno zabić dziecko, zdemolować kościół czy wtargnąć na Mszę – nie wolno natomiast manifestować narodowcom. Ten ostatni postulat podniosła już chyba większość ugrupowań opozycji, nie tylko nowolewicowych radykałów pokroju posłów partii Razem, ale nawet do bólu centrowy Szymon Hołownia. Kiedy z kolei pojawił się projekt zakazu marszów równości, w mediach podniosła się wrzawa. I co zastanawiające, na prawicy prawie nie ma głosów poparcia dla takich ograniczeń. Czy świadczy to dobrze o prawej stronie? Moim zdaniem, nie. Dotykamy tu szerokiego problemu fałszywego bożka, jakiego z wolności słowa uczynił współczesny świat.

Wielu czytelników zapewne myśli mniej więcej to, co zamierzam tu napisać. W związku z tym jednak, że głosy takie słychać coraz rzadziej, uznałem, że warto tych kilka myśli otwarcie wypowiedzieć. Pewne rzeczy trzeba nazwać po imieniu, nie zaś uciekać od tego.

Przyczynkiem do stworzenia niniejszego artykułu była wypowiedź Krzysztofa Bosaka, jednego z polity-

ków młodego pokolenia prawicy, który dla dawania odporu liberalno-lewicowej ofensywie zrobił sporo. Wypowiedź, moim zdaniem zbędna, a może nawet szkodliwa. Słowa posła Konfederacji odnosiły się do projektu ustawy Fundacji Życie i Rodzina, zakładającego m.in. zakaz tzw. parad równości. „Trzeba zakazywać działań gorszących, obscenicznych, wulgarnych w sferze publicznej. To jest bezsporne, mamy w Konstytucji artykuł o moralności publicznej. Ale czy ma to skutkować całkowitym zakazem wyrażania poglądów przez całą grupę? To jest już kontrowersyjne" – mówił kilka dni temu w Polsacie Bosak. Jak dodawał, zakaz taki mógłby okazać się „niekonstytucyjny". Wypowiedź właściwie nie wzbudziła większych kontrowersji po prawej stronie sceny politycznej, podobnie jak analogiczne, wielokrotnie formułowane wcześniej przez różnych polityków PiS.

Moim zdaniem, jest to tendencja niepokojąca, ale o tym później.

Na marginesie przyznajmy rzecz, jak się wydaje, oczywistą. Moment, w którym składa swój wniosek Kaja Godek jest najgorszym z możliwych. Nie chodzi wyłącznie o to, że mamy czas zbierającej śmiertelne żniwo pandemii. Nagłaśnianie projektu kilka tygodni po jednej z największych fal protestów w dziejach III RP, organizowanych na dodatek pod hasłami walki z tradycyjną obyczajowością, może przyczynić się do dalszej eskalacji problemu. A siły tradycji muszą być na taki moment zmobilizowane. Pokazują to nie tylko niedawne wydarzenia, ale także np. tzw. czarny protest z 2016 r. Najistotniejsze przy tym że, jak się przekonamy, od lat na tzw. prawicy ma miejsce faktyczna **demobilizacja** na tym polu.

Nie ma wolności dla wrogów wolności

To sytuacja zupełnie odwrotna niż po liberalno-lewicowej stronie. Dobrym przyczynkiem do dyskusji jest to, co działo się w sprawie tegorocznego Marszu Niepodległości (MN). Już na kilka dni przed nim uczestniczący chwilę wcześniej w masowych proaborcyjnych protestach Rafał Trzaskowski ogłosił, że zabrania narodowcom maszerować. Ten Trzaskowski, na którego chęć głosowania deklarował niejeden wyborca Konfederacji. Po rozruchach, do których doszło w trakcie tegorocznego MN, zarówno wśród lewicy, jak i liberałów zapanował istny szał delegalizacyjny. Swoje poparcie dla zakazu organizowania MN (w kolejnych latach) wyraził prędko Szymon Hołownia oraz dogorywająca u boku PO Nowoczesna. Sama Platforma wykazała się większą gorliwością. Partia Borysa Budki, oprócz zakazu marszów 11 listopada, zażyczyła sobie delegalizacji ONR, z czego zresztą zakpiła Młodzież Wszechpolska – wszechpolacy przewrotnie zaczęli domagać się wpisania swojej organizacji na listę stowarzyszeń przeznaczonych przez Budkę do likwidacji. Zabawne zresztą, że znalazł się na niej ONR, który aktualnie w organizowaniu MN udziału nie bierze. Jak widać, postulat delegalizowania kolejnych to narodowych formacji przychodzi naszym liberałom bardzo łatwo.

Błędu swojego ugrupowania nie popełniła posłanka PO Aleksandra Gajewska, która ogłosiła, że zdelegalizować należy nie tylko ONR, ale także właśnie MW oraz mającą swoich posłów legalną partię, jaką jest Ruch Narodowy. Grafikę o takiej treści przyozdobiła dwiema błyskawicami, co wywołać musi pewne rozbawienie. Do tego chóru dołączyli się liberalni dziennikarze: Hanna Lis, która domaga się „pierdla" dla uczestników manifestacji („patoidiotów"), oraz kontrowersyjny (by nie użyć innych słów) dziennikarz Jacek Nizinkiewicz. O tym, czego w tej sprawie od dawna domaga się Lewica – wspominać nawet nie ma potrzeby.

Jaki z tego wszystkiego wniosek? Szeroko pojęta lewa połowa polskiej sceny politycznej

> **zupełnie nie kryje się z tym, że narodowcom po prostu zabroniłaby działalności społecznej i politycznej. Zdelegalizowała ich organizacje, zakazała manifestować, a nawet brać udziału w debatach. Liberałowie i lewicowcy dowiedli tego wielokrotnie, a że dopiąć swego nie mają jak – to zupełnie inna rzecz. Intencje są oczywiste.**

To wszystko zresztą stara praktyka. Już nieboszczka Unia Wolności przed kilkunastu laty chciała likwidować MW, mając na ustach frazesy pełne wolności słowa. A no właśnie, jak się godzi zakazywanie działalności, czy choćby manifestowania z tą rzekomą świętością III RP, jaką jest wolność słowa?

Wolność słowa. Czy jest dobra? Czy w ogóle istnieje?

Kluczową rolę w omawianym tu sporze odgrywa pojęcie „wolności słowa". Nie da się uniknąć pytania, czy jej pełna realizacja jest w ogóle możliwa. Wydaje się, że jest tak raczej w teorii niż w praktyce. Wszak państwa zachodnie, które całe swoje jestestwo oparły na idei wolności słowa, coraz silniej dążą ku swoiście reinterpretowanej maksymie bynajmniej nieliberalnego Saint-Justa: „Nie ma wolności dla wrogów wolności". Znamy wszyscy przejawy kneblowania ust politykom, ale i zwykłym obywatelom głoszącym hasła nacjonalistyczne czy tradycjonalistyczne. W krajach skandynawskich ten proceder dawno już wkroczył w ramy życia rodzinnego.

Nawet nasza III Rzeczpospolita, gdzie tendencje te nie przybrały aż tak na sile, powinna być opisywana w ten właśnie sposób. Mamy w konstytucji zapis o zakazie propagandy faszystowskiej, nazistowskiej i komunistycznej. Jak by go nie oceniać, stanowi on przecież przejaw cenzury, egzekwowanej przez państwo wybiórczo, ale na pewnych polach – z całą mocą i nieraz przesadnie. Jak przed chwilą widzieliśmy, czołowi politycy opozycji chcieliby ten zakres cenzury znacząco poszerzyć. Zidentyfikować poglądy narodowe z tymi, których propagowania prawo zakazuje i zacząć je zwalczać za pomocą aparatu państwowego. Dlaczego? Dlatego, że ich zdaniem, narodowcy są „wrogami wolności".

> **Wolność słowa jest czymś tak rzadko spotykanym dlatego, że utopią jest sama idea państwa neutralnego światopoglądowo. Państwa, które obecnie tę ideę biorą na sztandary, w istocie na ogół są systemami tej represyjnej formy liberalizmu. Nie ma w nich miejsca dla wolności od poglądów, które określa rzekomo „neutralny" system.**

Więcej na temat mitu „neutralności światopoglądowej" czytelnik znajdzie w artykule Piotra Ewertowskiego. Nie będziemy się tu dłużej pochylać nad tym, czy doskonalszą, czy też mniej doskonałą inkarnacją idei liberalnej jest popularny na Zachodzie liberalizm represjonujący „wrogów wolności", czy też może kruchy liberalizm, który faktycznie nie wtrącałby się w życie jednostki.

Sprawą istotniejszą z punktu widzenia naszych dociekań jest to, czy wolność słowa w ogóle jest pojęciem, któremu należy hołdować. Nie sposób zaprzeczyć, że idea postawienia prawa każdej jednostki do autoekspresji i wolnego wyboru ponad wartościami, które potocznie zwie się tradycyjnymi, jest na wskroś liberalna. O ile przed 200 czy nawet 100 laty, żyjąc w całkiem jeszcze konserwatywnym świecie, liberał mógł zupełnie uczciwie twierdzić, że tradycyjna moralność jest wyjściem najrozsądniejszym, a

więc najczęściej stawać się będzie obiektem wolnego wyboru człowieka, to dziś jawi się to jako niemożliwe. Nie ma już tych wszystkich więzów, które spajały dawniej społeczeństwo. Dziś przeciętny człowiek, gdy trapi go jakiś problem moralny, dopiero w dalszej kolejności pomyśli, czy odpowiedzi na pojawiające się pytania udzieli mu Kościół. Każde kolejne pokolenie liberałów coraz bardziej przejmowało się tymi „prawami" jednostki, które coraz trudniej było pogodzić z tradycyjną moralnością. Wolność słowa u progu nowoczesności uderzała co prawda w tradycyjny porządek, nie niszczyła jednak żywej tkanki wspólnoty społecznej. Dziś trawi ją, a gdzieniegdzie jest to już być może proces dokonany. Stan faktycznej wolności słowa może więc istnieć co najwyżej doraźnie, przez pewien czas. Na ogół do momentu, w którym liberałowie nietolerancyjni wezmą się za „wrogów wolności".

Co w zamian?

Jakże łatwo w ciągu kilku dekad przeszliśmy od jasnego obstawania przy tym, co uznajemy za dobre, do uznawania za oczywiste twierdzeń, że każdy ma do czegoś „prawo". Aksjologicznie polska prawica może jeszcze nie stała się w pełni liberalna, ale politycznie już dawno stanęła na gruncie liberalnym.

A to być może sytuuje nas na przegranej pozycji. Założenie bowiem, że równe szanse mają nasz, jakby na to nie spojrzeć, wymagający światopogląd, oraz sprzyjający hedonizmowi i akceptacji ludzkich słabości światopogląd liberalny, wydaje się naiwne. Zbiorowość ludzka, gdy już nie jest spajana tradycyjnymi więzami społecznymi (narodowymi, religijnymi, lokalnymi, rodzinnymi), będzie dążyć ku atomizacji.

Nie ma niestety podstaw, by podejrzewać, że lud sam z siebie będzie wybierał rozwiązania zbieżne ze światopoglądem prawicowym. Tak się dzieje jedynie do pewnego momentu. Jak powiedział Alain de Benoist w wywiadzie dla „Arcanów" „człowiek, oglądany przez pryzmat liberalizmu, zostaje utożsamiony z jednostkowym dążeniem do realizacji własnego interesu i to dążenie stanowi jego istotę i najbardziej naturalne zachowanie, przez co ma być w najwyższym stopniu moralne". Na tym polega prawdziwe zagrożenie niesione przez liberalizm. Zniszczenia, jakich dopuszcza się on na samej idei wspólnot ludzkich prawdopodobnie okażą się w dłuższej perspektywie daleko bardziej dotkliwe niż te, które niósł nominalnie chociaż wspólnotowy komunizm.

Na gruncie zasad liberalnych, zasad państwa opartego o wolność słowa, zdolność do wygrania z liberalizmem będzie, wraz z postępem erozji tradycyjnych spoiw społecznych, z biegiem czasu coraz mniejsza.

Co zamiast pełnego hipokryzji kultu wolności słowa proponuje światopogląd wspólnotowy, tożsamościowy? Proponuje ideę ładu społecznego, opartego na prymacie narodu, państwa, tradycji i religii. Polska jest dla człowieka myślącego wspólnotowo ostoją właśnie porządku i bezpieczeństwa, a nie polem do eksperymentowania dla fanów obyczajowych nowinek. Dla człowieka wartości, które zwiemy tradycyjnymi, jako coś oczywistego musi jawić się aktywna walka z relatywizmem.

> **Nie ma bowiem równości pomiędzy życiem rodzinnym a tym, co proponują środowiska LGBT. Nie ma równości między postawą pro-life i pro-choice. Nie ma równości między wychowaniem do życia w służbie wspólnocie, a wychowaniem do życia w służbie swoim własnym potrzebom. Między państwem narodowym i jego brakiem, między religią i walką z nią. W sporze cywilizacji i anty-cywilizacji, bo to co proponują współczesne feministki i**

> **działacze LGBT, na lepsze określenie nie zasługuje, będzie coraz mniej miejsca na tolerancję. Nie zmienią tego zaklęcia przeróżnych poszukiwaczy społecznego konsensusu. Nawet gdybyśmy chcieli utrzymać status quo, to druga strona się tym nie zadowoli.**

Przykładów z całkiem nieodległych państw jest aż nadto. W konfrontacji dwóch światów wygra ten, który będzie potrafił pociągnąć za sobą ludzi, ale będzie też sprawniej działać – będzie bardziej zdeterminowany i skłonny do poświęceń. Będzie silniej wierzył w słuszność swoich zasad.

Co robić?

Oczywiście znamy współczesne realia polityczne i wynikające z nich ograniczenia. Wiemy, jak daleko dzisiejsza Polska odbiega od stanu idealnego i jak trudno byłoby takowy zaprowadzić. Jakiego by więc projektu w Sejmie nie złożono – zakazu parad równości w dającej się przewidzieć przyszłości nie doczekamy. Czy jednak znaczy to, że nie należy wyrażać sprzeciwu wobec samego faktu organizowania manifestacji LGBT?

Nie jesteśmy jeszcze w takim miejscu, jak Holandia czy Szwecja, gdzie tłamszenie prawicy zaszło tak daleko, że trudno sobie wyobrazić głoszenie jakichkolwiek konserwatywnych haseł bez dopominania się o wolność słowa. Z drugiej strony, nie jesteśmy też w Polsce roku 1990 czy nawet 2005, kiedy postawienie na piedestale zasady wolności zgromadzeń niezależnie od haseł, pod jakimi miałyby się one odbywać, na szeroko pojętej polskiej prawicy wcale nie dominowało.

Pamiętamy przecież, że narodowcy opierali się paradom LGBT już od pierwszych takich manifestacji. W trakcie kontrdemonstracji z lat 2004-2010, kiedy grupy nacjonalistyczne próbowały (momentami skutecznie) nie dopuszczać do przemarszów środowisk homoseksualnych, nie chodziło przecież o żadne bezpośrednie profanacje religijne. O tych myśleli w Polsce wówczas chyba jeszcze zupełnie nieliczni spośród aktywistów LGBT. Narodowcy demonstrowali swój sprzeciw wobec samej idei manifestowania tak silnie odbiegających od normy upodobań seksualnych oraz wszystkiego tego, co niesie ze sobą ten ruch. Było to wystąpienie przeciw wolności słowa, wystąpienie wynikające z konsekwentnego, spójnego traktowania światopoglądu, który można nazwać narodowo-katolickim.

Mało tego. Przynajmniej w tamtych latach nie trzeba było być nacjonalistą bądź ultrasem konserwatyzmu, by tak uważać. Mało się już dziś pamięta o tym, że w 2004 r. prezydent Warszawy Lech Kaczyński zabronił organizacji parady równości w tym mieście. Jeszcze rok temu, w lipcu 2019 r. jego brat Jarosław został nagrany, kiedy w rozmowie z jednym z sympatyków, w tonie wyraźnie afirmatywnym przypominał o tym fakcie. Jest zresztą wysoce prawdopodobne, że ta druga sytuacja była czymś w rodzaju kontrolowanego przecieku, puszczeniem oka do elektoratu zmęczonego nasilającymi się wówczas prowokacjami ze strony grup LGBT. Także w tym wypadku byłaby to jednak pouczająca lekcja, udzielona nam przez sprawnego przecież politycznego wyjadacza. Jak sugerował konserwatywnemu wyborcy Kaczyński, chętnie sam by zakazał paradowania homoseksualistom, no ale nie może tego zrobić, gdyż UE i sądy to mu uniemożliwią.

Potrzeba zdrowego radykalizmu

W praktyce jednak PiS stanął już lata temu na pozycjach tolerancji wobec odbywania się zgromadzeń te-

go typu, przy jednoczesnym wyrażaniu dezaprobaty wobec pojawiających się tam ekscesów. Jest to dobre pole do krytyki dla ugrupowań, które uważają się za bardziej od rządu „prawicowe", konserwatywne, tradycjonalistyczne, patriotyczne. Tyle tylko, że takie głosy nie są już na prawo od PiS powszechne. Mówi się często o stopniowym odchodzeniu partii Kaczyńskiego od pryncypiów, ale czy o środowiskach znajdujących się na prawo od niej również tak czasem nie można powiedzieć? Jeśli „prawica ideowa" krytykuje centroprawicę za bezobjawowość i kapitulanctwo (słusznie), to należy oczekiwać, by sama była dla prawicowo ukierunkowanego elektoratu latarnią wskazującą słuszny kierunek, a nie wykazywała się podobnymi tendencjami.

Ba, nie trzeba chyba nawet być zadeklarowanym zwolennikiem zakazywania parad LGBT, by uważać, że ktoś na polskiej scenie politycznej po prostu powinien reprezentować głos najbardziej konserwatywnej części społeczeństwa. Tej, która z obrzydzeniem patrzy nie tylko na profanacje Hostii, wtargnięcia na Msze, tęczowe flagi w aureolach Maryi, ale i na same parady równości. Obsceniczne, w istocie swojej po prostu obrzydliwe manifestacje upadku obyczajowości człowieka Zachodu.

Zaznaczmy w tym miejscu, że na polskiej prawicy wciąż są jeszcze postaci (Janusz Korwin-Mikke, Grzegorz Braun), którym zdarzają się wypowiedzi wymierzone w sam fakt organizacji takich marszów. Są one jednak formułowane w taki sposób, że nie do końca wiadomo, czy chodzi o wywołanie medialnego zamieszania, czy o faktyczny sprzeciw. Podniesienie tego hasła na nowo wydaje się najbardziej odpowiadać programowi i zasadom, do których odwołuje się przynajmniej werbalnie stojąca na antypodach liberalizmu katolicko-narodowa część Konfederacji.

Także z tego więc powodu Krzysztof Bosak mógłby się, w dobrze pojętym interesie swojego własnego ugrupowania politycznego, głębiej zastanowić nad stanowiskiem w tej sprawie. Szansą bowiem dla dzisiejszych formacji politycznych, identyfikujących się z ideą narodową, wydaje się głoszenie merytorycznego i odległego od wariactw, ale **radykalnego** przekazu. Wyborcy o poglądach radykalnych coraz częściej bowiem mają poczucie osamotnienia przez obóz rządzący.

Realizacja postulatu zakazu manifestacji LGBT nie jest na razie realna, ale czy zawsze głosi się wyłącznie to, co realne? Czy nie należy zajmować twardej postawy w sporze o najbardziej podstawowe wartości, nawet jeśli osiągnięcie postulowanego celu nie jest w dającej się przewidzieć perspektywie możliwe?

> **Sprawa ma wreszcie swój wymiar wychowawczy. Jeśli kadry organizacji prawicowych, narodowych, konserwatywnych na trwałe pogodzą się z tym, że dopuszczalne jest eksponowanie takich zachowań seksualnych, to jak w kolejnych dekadach opierać się one mają coraz to dalej idącym postulatom ruchu LGBT? Trudno w dłuższej perspektywie utrzymywać stan fundamentalnej rozbieżności pomiędzy otwarcie głoszonymi hasłami a tym, co się myśli. Z drugiej strony, jeśli kiedyś ma na powrót zapanować pożądany przez siły tożsamościowe stan, to taki głos musi przecież się w ogóle pojawiać.**

Si vis pacem, para bellum

„To jest wojna" – słyszymy od kilku tygodni na polskich ulicach. Oczywiście ktoś powie, że – jak to widać

na licznych nagraniach – w konfrontacji fizycznej ze środowiskami kibicowskimi i narodowymi wielu głosicielom owego hasła szybko z głowy wyparowuje wojowanie. Niemniej jednak w sensie walki o kulturę nowa lewica wie, co mówi. To jest wojna ich świata z naszym, a nie dialog między nami a nimi. Oni chcą, by ich zasady zepchnęły nasze do narożnika, tak jak to stało się lata temu na Zachodzie.

Trudno zresztą nie dostrzegać, że również potencjał do walki fizycznej po stronie lewicowej stale rośnie. Pisał niedawno Karol Kaźmierczak na łamach portalu Kresy.pl, że protesty w sprawie aborcji to polski maj'68. W sierpniu, w trakcie rozruchów związanych z zatrzymaniem „Margota" pojawiły się głosy, że mamy do czynienia z polskim „Stonewall". Nie jest dziś łatwo stwierdzić, czy analogie te są w pełni trafione i czy to już „ten" moment, niemniej jednak widać, że coś pęka. Nie tylko w świadomości społeczeństwa, ale i w gotowości lewicy do starć ulicznych. Sceny, które przyniósł nam rok 2020 ukazują nie tylko to, jak wiele się zmieniło, ale także to, gdzie możemy być za kilka lat.

Wobec takiego wyzwania wydaje się, że trzeba oczekiwaniom lewicy wyjść naprzeciw. Jeśli chcesz pokoju, szykuj się do wojny. Jeśli ktoś uważa, że pomazanie elewacji kościoła albo wejście na Mszę z kartonową tabliczką to szczyt tego, co potrafi „druga strona", to niech spojrzy na niedawno jeszcze katolickie Chile. Tam już płoną kościoły.

Oczywiście widać pewne pozytywne symptomy, takie jak ruch w obronie kościołów, animowany zresztą przez narodowców, nieraz wbrew samym duchownym. Mimo tych pojedynczych sygnałów, jesteśmy jednak w dużej mierze nieprzygotowani do rozpoczynającego się starcia. Starcia, które jest nieuchronne, a do którego musimy być gotowi. Gotowi, jak się okazuje, fizycznie, ale także mentalnie – to znaczy pozbawieni złudzeń, że możemy wrócić do tego, jak było do tej pory. Złudzeń, że z wojującym lewactwem będzie można usiąść do stołu i ustalić jakiś kompromis.

Alternatywą nie jest bowiem stan neutralności światopoglądowej, gdzie narodowiec i lewak będą mieli takie samo prawo głosu w debacie publicznej. Jak zostało powiedziane wcześniej, zjawiska takie, jeśli występują w przyrodzie, to przez bardzo krótki czas. Czyjeś wypłynie w końcu na wierzch. Z różnymi formami tudzież fazami rozwoju liberalizmu mamy i jeszcze długo będziemy mieć do czynienia, ale coraz silniejsza będzie po tej drugiej stronie tendencja do wyłączania nas poza margines życia politycznego.

Trzeba umieć się na to przygotować, a wręcz zacząć wychodzić z inicjatywą. Zerwać z reaktywnym schematem, który charakteryzuje w sprawach kultury zarówno centro-, jak i „ideową" prawicę. Nie tylko głosić otwarcie konieczność zakazu finansowania środowisk antycywilizacyjnych z zagranicy, ale i nie bać się domagania zakazów dla ich wyuzdanych manifestacji, surowego egzekwowania prawa wobec lewackich wandali i bandytów. Nawet jeśli w krótkiej perspektywie działania te nie odniosą skutku, to chociaż utwierdzą działaczy i sympatyków prawicy w postawie nieulegania naciskom. Iść naprzód, a gdy jest to trudne – ani kroku w tył. Druga strona przecież się nie cofa. A liberalne centrum prędzej weźmie na sztandary bohaterów skrajnej lewicy, niż uzna „prawicę ideową" za równorzędnych partnerów do dyskusji. W polskim internecie popularyzacji ulega ostatnio zapożyczone z USA określenie, które dobrze oddaje skłonności części prawicy do przypodobania się liberałom na siłę. Jest to „kukoldztwo". Czyżby prawica, która to od 200 lat przegrywa niemal wszystko, znalazła nowy sposób na to, by jeszcze bardziej się pogrążyć?

Pojawić się mogą głosy, że otwarte stawianie omawianych tu problemów będzie po-

> **głębiać polaryzację społeczną. Nie jest to chyba nigdy dobre zjawisko, ale... co, jeśli jedyną alternatywą dla polaryzacji będzie stopniowe staczanie się całości ku temu, co widzimy na Zachodzie? Nie ma nic tak szkodliwego dla Polski, a jednocześnie tak nieetycznego, jak przyzwolenie na to, by w perspektywie pokolenia nasza wspólnota podzieliła los narodów zachodnioeuropejskich.**

Przy okazji ostatnich protestów pojawiły się nawiązania do wydarzeń w Hiszpanii w 1936 r. Jest to dziś analogia niewątpliwie przesadzona, ale patrząc na język i poczynania nowej lewicy, jej cele wydają się jasne. Nie tylko osobnikom pokroju Marty Lempart, „Margota", ale i, jak się boleśnie o tym przekonują przeróżni „dziadersi", szerszym grupom aktywistów zależy wprost na zdekonstruowaniu tego, co my nazywamy polską kulturą. Zapewne chciałyby owe środowiska dokonać tego bez rozlewu krwi, bo i każdy chce osiągać swoje cele jak najłatwiej. Ale przecież – i tu wracamy do punktu wyjścia – ich cele są nie do pogodzenia z naszymi.

Prowokacyjnie wypada postawić pytanie: czy jeśli jednak nasz kraj stanie kiedyś w obliczu losu, który w latach 30-tych stał się udziałem Hiszpanii, to czy będzie należało stawić z całą zawziętością opór, czy jednak oddać pole i dać się zmarginalizować? Pozwolę sobie wyrazić opinię, że największą tragedią Hiszpanii współczesnej jest właśnie to, że – inaczej niż przed 84 laty – nikt nie stanął na drodze ludziom takim jak Zapatero. Nie było komu stanąć, bo mało kto już wierzył, że warto stawiać opór.

fot. narodowcy.net, snappygoat.com

Oryginał:
https://nlad-kopia1113.instawp.site/co-rozni-zwolennikow-marszu-niepodleglosci-i-parad-rownosci-o-tzw-wolnosci-slowa/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć